№ 36.

Warszawa dnia 27 Sierpnia / 8 Września R. 1866.

TYGODNIK MÓD i

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

Alfred de Musset.

ur. 1810 um. 1867.

Alfred de Musset, najsłynniejszy w ostatnich czasach liryk francuzki — jedną z młodocianych elegji, napisaną zaledwo na kilkanaście lat przed śmiercią, zaczął i zakończył sześciowierszem, nieporównanego wdzięku. Powtarzam go tu w oryginale, bo żaden ze znanych dotąd przekładów polskich, niema tego ciepła, téj woni — jakiemi oddychają harmonijne słowa poety.

Mes chers amis, quand je mourrai,
Plantez un saule au cimetiére,
J'aime son feuillage éploré,
La paleur m'en est douce et chère,
Et son ombre sera légère
A la terre oû je dormirai....

Niewinne to życzenie, wypowiedziane zapewne bez zamiaru zostało spełnione. Wielbiciele talentu poety, sprowadzili z drugiego pół-sfera kuli ziemskiéj, wierzbę płaczącą — i zasadzili ją przy skromnym pomniku, na cmentarzu *Pere la Chaise* pokrywającym jego zwłoki. Lecz biedne drzewo, wszczepione w grunt nieswojski, nierozrosło się i nieocienia grobowca, jakby złorzecząc zaklęciu poety — w imię którego wyrwano je z rodzinnéj doliny...

Niech mi wolno będzie, w tym chorobliwym stanie, nadgrobnéj wierzby Musseta, upatrywać pewne symboliczne znaczenie, posługujące do charakterystyki życia i utworów poety. Któż nieprzyznа, że wspomniony sześciowiersz — niemógłby z prawdą być użytym za dewizę, do ogółu pism poety a tem bardziéj, nie streszcza w lapidarnym napisie, jego życia? Jest to jeden z tych łagodnych, błękitnych płomyków, które zaledwo niekiedy dzierżgają, pałającą czerwonemi pasmami ognia, i drżącą od namiętnych wstrząśnień, tkankę rojeń paryzkiego śpiewaka. Przewieziona na parowym statku, z dziewiczych kniei nowego świata, cicha, zadrzemana wierzba, czyliż mogła być symbolem jego grobowca? Natura, chociaż bezwiednie, zdaje się jednak w ogólnéj harmonji bytu, zaznaczać wymownem tętnem swojem, wyroki sprawiedliwości bezwzględnéj? Wonne lipy, strzegły przez kilka wieków, opuszczonéj strzechy naszego śpiewaka z Czarnolasu, zanim je ścięła ręka świętokradzka, bo duch Pańskiego lutnisty i proste, szczere pieśni do do Hanny, zdały się ożywiać powietrze i grunt sielskiéj zagrody. Dziewicza wierzba, niechce — niemoże ocieniać przez lat kilka, mogiły śpiewaka bodnarowych tajemnic — i namiętnéj agonji serca, miotanego niewiarą i palonego pragnieniem rozkoszy!

Jakto? Śmiałbym więc zaprzeczać lub podawać w jakiekolwiek wątpienie, uznaną i utrwaloną sławę Musseta? Bynajmniéj. Takie autorytety, jak Wiktora Hugo, Karola Nodier, Saint-Beuve, i D. Nisarda, witające najprzód z oklaskami rosnący talent ośmnastoletniego poety — a potem, wprowadzające go w grono uczonych członków akademji paryzkiéj— za nadto mają powagi, żeby głos przeczący, niebył śmiesznym i zuchwałym! Francja i cały świat literacki słuchają dotąd z wytężeniem, nieprzebrzmiałych dźwięków jego bardonu... Lecz niemniéj nieulega wątpieniu, że muzę i grób jego, zaznaczono najniestosowniejszem godłem. Sam autor pieśni Andaluzyjskich, zaprotestowałby niezawodnie, przeciw temu wyskokowi przesadnéj i manierowanéj sentymentalności.

Sentymentalności téj właściwie niemiał Musset i nieudawał też jéj wcale. Westchnął zaledwo czasem, ale za to, każde westchnienie jego było szczere i serdeczne. Zawsze był sobą, a będąc wyrazicielem pojęć i pragnień swojego czasu — niemógł być innym jakim był. Francja niebyła także taką, jaką

jest dzisiaj. Utylitarność, nieprzeprowadziła jeszcze przez charakter narodowy, głębokiéj bruzdy; i niespowodowała stanowczego w nim przełomu. Gromy pierwszego cesarstwa zagasły i niewołając na pole zwycięztw dały odetchnąć pieszczoną rozkoszą uciech... A groźne widmo klerykalizmu, posunęło za strzaskanym rydwanem Karola X.

Ten cykl pojęć i dążeń Francji, panujących w niéj przez lat prawie dwadzieścia po rewolucji lipcowéj — obejmują w sobie pisma Musseta. Niepotrzebował przeto, jak egzotyczna roślina, sztucznych środków cieplarni i czerpał siły żywotne, z bezdennéj głębi narodowego ducha. Dla tego też w treści i w formie niezna naśladownictwa i przymusu. Wiersz jego pełny, swobodny, bieży jak fantastyczne wstęgi żywych strumieni i jak one, zostanie na zawsze świeżym i ponętnym. Krasa jego, niemniéj żywa i urozmaicona iskrami dowcipu, uważaną jest za wzorową.

Musset, pod względem charakteru pism swoich, zajął niezaprzeczenie wysokie stanowisko narodowego poety Francji i stanął obok Beranżera.

Lecz gdy ten, dziecię ludu, poprzestawał na krótkiéj piosnce — autor Porcji, Rolla i Ninetki, stroił utwory swoje do smaku wykwintu salonowego.

Życie poety, było niemniéj wyrazem czasu.

Ojciec jego V. D. Musset-Pathay, zajmował posadę naczelnika biura w Ministerium wojny a jako człowiek uczony, znanym jest z dwutomowéj historji J. J. Rousseau i ze znakomitéj edycji dzieł genewskiego filozofa. Młody Alfred przechodził nauki w kollegium Henryka IV współcześnie z księciem de Chartres, późniejszym księciem orleańskim. Szkolna przyjaźń z tronowym kolegą, posłużyła potem poecie do pozyskania posady bibliotekarza a ministerium spraw wewnętrznych udekorowało krzyżem legji honorowéj.

Przyjaźń ta i poddanie się protekcji, charakteryzuje zarazem czas i indywidualność poety. Jednemu i drugiemu brakło już podpory i podpora zewnątrz, staje się nie do odrzucenia. Brak ten samodzielności, widzimy niemniéj w obiorze przez Musseta stałego powołania. Nierodził się w czasach, w których wyższe intelligencje, widzą odrazu jasny słup swojéj drogi. Chciał być lekarzem, ekonomo-politykiem i artystą, zanim uczuł powołanie literackie. Pierwsze wydanie młodocianych poezji, wyróżniło go odrazu z tłumu współczesnych pisarzy i wierszopisów. Ośmielony i poparty przez pierwsze znakomitości naukowe, poszedł daléj—zyskując w miarę rozwijającego się talentu, coraz szerszy rozgłos i sympatję. W tem wypadki lutowe pozbawiły go pasady, otrzymanéj za czasów królestwa. Położenie poety, niemającego żadnych funduszów, a żyjącego nieostrożnie i rozrzutnie — stało się przykrem. Nie lękajmy się jednak — potrafił pójść za falą okoliczności. Jakoż rządy nowego Cesarstwa, zrobiły go bibliotekarzem ministerjum oświecenia i zaszczyciły honorowym tytułem lektora cesarzowéj Eugenji. Lecz jakie nie były środki poety, nie wystarczały mu one nigdy i niemal zawsze cierpiał niedostatek. Życie marnotrawne i wylane na szukanie uciech przelotnych, złamały jego zdrowie, zbliżając przedwczesną starość i śmierć przedwczesną przypadłą w r. 1857. Rozpocząwszy swój zawód, jako zagorzały romantyk, umarł członkiem akademji Paryzkiéj, nieodbiegającéj nigdy od tradycyjnych pojęć klassycyzmu. Niebyło to jednak renegacją literacką poety — przejętego od początku poszanowaniem dla prawdziwych prawideł sztuki i dbającego o czystość języka. W pierwszych jeszcze latach swego zawodu (1836 — 1837). W artykułach pod tytułem: *Lettres de Depuis et Cotonet*" umieszczonych bezimiennie w *Revue des deux Mondes*, wykazał swój jasny, poważny pogląd na sprawę piśmiennictwa i z właściwym sobie humorem, karcił nadużycia lub nieumiejętność — pokrywające się płaszczykiem romantyzmu.

Niepodaje tu opisu dzieł i odzielnych poematów Musseta. Wyliczenie ich bibliograficzne, niemiałoby żadnego znaczenia a zatrzymując się choć w kilku słowach, nad każdym wybitniejszym utworem, rozszerzyłbym nad zamiar ramy tego artykułu. Przytem nie wszystkie pisma Musseta, doszły do wiadomości powszechnéj. Niedawno, na teatrze paryzkim *Odeon*, dawano nieznaną dotąd jego komedją, „*La Carmoisine*" ułożoną z powiastki *Boccacia*. Niemniéj, zapowiedziana w roku przeszłym przez znanego wydawcę *Charpentier*, pośmiertna edycja dzieł Alfreda de Musset, składająca się z dziesięciu tomów, obejmować ma nieznane dotąd utwory poety i prywatną jego korespondencją. Przepyszne to jednak wydanie, mające stanowić szczyt kunsztu drukarskiego, nieukaże się w handlu i ogranicza się określonem kółkiem prenumeratorów. Pomysł zaiste, szczególniejszego monopolium w dziedzinie umysłowości!

Zresztą oprócz wspomnionych listów, *de Depuit et Cotonet* i niewielkiéj liczby utworów lirycznych — niezachęcamy wcale czytelniczek naszych, do bliższego zaznajomienia się z Alfredem de Musset. Obrazy jego acz prawdziwe i żywe, lepiéj jeżeli się nieprzesuną przed jasnemi oczami naszych kobiet, a szczególniéj dziewic naszych. Niepodobna im nawet odmówić pewnéj tendencji moralnéj, ale środki jakiemi autor prowadzi do swego celu, zbyt są dla nas rażące. Najlepszym dowodem téj niestosowności pism Musseta, do pojęć i obyczajów naszych, jest niemożebność całkowitego ich przekładu na nasz język. Niemało ustępów śniących, powabnych i dostępnych do czytania w oryginale, trąciłyby w tłumaczeniu naszem bezecnym cynizmem. Duch języka zdaje się wzdrygać przed obrazami wstrętnemi, lub obcemi duchowi myśli i podań obyczajowych. Niegardźmy wzorami cudzoziemskiemi — ale nieprzyjmujmy ich bez wyboru. Trucizna tem jest niebezpieczniejszą, gdy nam ją podają w ponętnéj formie orzeźwiającego napoju.

Epoki wielkie, twórcze, w każdéj gałęzi swoich objawów, wywierają wpływ czynny na rozwój społeczny i cywilizacyjny. Tchnienie ich niezaraża, ale ożywia a im szerzéj dochodzi tem lepiéj. Przeciwnie epoki przejściowe, epoki osłabienia i sztucznego zasklepienia w formach konwencionalnych, rażą swoim oddechem piersi, nieprzywykłe od kolebki do téj atmosfery chorobliwéj. W takiéj epoce żył Alfred de Musset i niewiele ją przeżył. Stając się więc uosobieniem swojego czasu, zasłużył się swemu narodowi niemało i pozostanie dla niego na zawsze szacownym medalionem przeszłości. Ale dla nas niemając tego pokrewnego znaczenia, niemoże mieć wartości bezwzględnéj

innych europejskich poetów. Krótki ten przegląd, uzupełniam załączeniem kilku przekładów utworów poetycznych de Musseta, starając się dać poznać różnostronny ich charakter.

Jan Prusinowski.

Do rodzinnéj mojej strony.

Leć piosenko leć w tę strony,
Z tchnieniem wiatru leć;
I smutnemi swemi tony
Przypomnienie wznieć.

Płyń piosenko do méj matki
Nad mogiłą, płyń,
Wstąp piosenko do méj chatki,
Potem piosnko zgiń.

Zgiń piosenko w wiecznéj ciszy,
Niech tylko głos twój,
Cień méj zgasłéj siostry słyszy,
Wspomni na los mój,

Nad mogiłą ojca mego,
Zadźwięcz w cieniu drzew,
Wysłów czucia serca mego,
W Kukułkowy śpiew.

Na rodzinne moje niwy
Pozdrowienie tchniej,
Gdziem dzieckiem bujał szczęśliwy
Obok Matki méj.

W snach w marzeniach nieoh cię pozna
Młody serca brat,
Nim zawodów świata dozna,
Nim mu zbrzydnie świat.

Gdy mu kiedy trud, mozoły,
Z piersi wydrą jęk,
Niech mu smutek twój wesoły
Piosnko, spłoszy dźwięk.

Niechaj wszystkich rozweseli
Twój piosenko ton,
Bo tam serce będą mieli
Ludzie tamtych stron.

A jeżeli nie rozbudzi
Mój śpiew ludzi tych,
Wracaj piosnko, rzuć tych ludzi
Wróć do objęć mych.

Ja ci tu dam uścisk bratni
Wzmocnię słaby ton,
Potem piosnko raz ostatni
Zadzwięcz na mój skon.

X. X.

Pogadanka Tygodniowa.

Stara to prawda znana i uznana, że rozwój literatury w każdéj społeczności, jest miarą jéj potęgi moralnéj, owéj siły najwyższéj w świecie, która dziką naturę robi najpokorniejszym sługą i z czarodziejską mocą usuwa przeszkody, jak pyłki maluczkie, choćby równały się górze niknącéj w obłokach. U dzikich ludów Ameryki i Australji o piśmiennictwie nie ma najmniejszego wyobrażenia, nic tam nie piszą nie czytają, nie mają ani jednego pisma perjodycznego, ani książki, ani elementarza, ani nawet papieru pióra lub atramentu. To też do ludów tych żyjących w pokoleniach, liczących się na tysiące i dziesiątki tysięcy, przybyło niegdyś parę setek Europejczyków i obszary ziemi większe od całéj Europy, zajęli jak własność im przynależną, dawni zaś mieszkańcy pierzchli w lasy razem ze spłoszonem zwierzem, przeczuwając instynktowo, że tam jest moc któréj nie podołają. Panując nad światem otaczającym o tyle zaledwie, o ile wymaga konieczność zaspokojenia głodu, dziś nikną coraz więcéj i marnieją, bo nauka tworząc rozum, ludzi dopiero uczłowiecza, kto więc ją odpycha, nawzajem wypychany jest przez nią, bo na-

uka to dobro, to zwiastun przyszłego raju na ziemi, to światło nieznoszące ciemności, ów archanioł Pański mieczem prawdy torujący drogę ludzkości.

Żeby z kwestji tak obszernéj, wykręcić się jako tako i goryczą słów nie zepsuć smaku zwolennikom delikatesów, zaprzątającym coraz więcéj speknlacją handlową, przebiegnę ulicę Warszawy, zawsze rojne i ludne cieszące się znowu chłodem po minionych upałach.

Zabawy wszędzie pełno, literatura afiszowa rozwija się na wszystkich rogach ulicznych z nieporównaną pomyślnością, głosząc zawsze, wielkie, nadzwyczajne koncerta i różnorodnéj natury przedstawienia. Kassy tych widowisk prawie od chwili ich otwarcia, oblegają tłumy tak gęste i zwarte, że prawie przebojem tylko kupno biletów można dopełnić. Zajeżdżają karety, kocze, dorożki, bryczki, dryndulki, pędzą, wymijają się, spychają, słowem gwar, życie jakich na wśiach nasłuchać i napatrzyć się można tylko na odpustach i jarmarkach miasteczkowych.

W ujeżdżalni ogrodu Saskiego przez dni kilka mieliśmy wystawę kwiatową. Celem jéj, jest popis wystawców i zachęta do współubiegania się, rozbudzenie zamiłowania uprawy ogrodowéj w ogóle i pokochania kwiatów, któremi najuboższy nawet człowiek ozdobić może swoje mieszkanie. Hodowla ich, wtajemnicza w wielką pracę przyrody, podnosi umysł do Stwórcy i tem samem łagodzi obyczaje stając się jedną z potężnych dźwigni ogólnego umoralnienia.

Kurjer Warszawski w artykule nadesłanym przez Szymona Weredyka, donosi, że w jednym ze sklepów naprzeciw Benardynów, znajdują się kapelusze damskie, bardzo składne i ładne z przystrojeniem odpowiedniem nie kosztujące więcéj jak trzy ruble. Korrespondent dodaje nadto, że śmiesznem jest, aby posiadaczka ładnéj twarzyczki, któréj mąż lub ojciec w krwawym pocie na kawałek chleba pracuje, sadziła się na kapelusze, kosztujące 12 lub 15 rubli, że mając kamienicę przynoszącą siedm tysięcy czystego dochodu, ożeni się tylko z taką panienką, która droższego kapelusza jak trzy ruble nosić nie będzie. Kiedy wiadomość tę powtórzyłem w pewnem kółeczku, ozwały się liczne panieńskie głosy:

— Pan Weredyk, rzekła jedna, powinien był przezwać się panem Marudą, któremu przyszłéj przez niego wybranéj zupełnie nie zazdroszczę. Szkoda że do kapelusza nie dodał jeszcze warunek jedzenia chleba razowego, lubienia mleka na wpół z wodą, chodzenia boso, i nieużywania rękawiczek ani parasolki. Sam przytem niechby chodził z gołą głową, nie strzygł i nie golił się, to byłaby prześliczna para Nowo-Zelandczyków lub Buszmenów oryginalnością przewyższającą niedawno pokazywanych Azteków.

Roześmieliśmy się wszyscy z wymownego głosu panienki, a druga zaraz dodała:

— W każdym razie, warunek pana Weredyka jest śmieszny, bo można chodzić nawet bez kapelusza, a być wielką zbytnicą, jak znów przeciwnie, można ubierać się z pewnym nawet zbytkiem, a być bardzo oszczędną i rachunkową. Wszystko jest względne a że pragniemy jak najwięcéj upięknić swą powierzchowność, do czego strój dzielnie dopomaga, to fukać na nas nie należy. Panowie lubią dogadzać językowi i podniebieniu, my naszym buziom, żeby ładniéj wyglądały, zobowiążę się więc nie mieć nigdy droższego nad trzy ruble kapelusza, jeżeli panowie nawzajem przyrzekną, nie zajadać zbyt kosztowych przysmaczków i nie zapijać ich szampanem.

— Zgoda, zgoda! zawołały inne, porzuciemy nawet krynoliny i koki, suknie jedwabne, koronki, łańcuszki złote, broszki i bransolety, byle tylko panowie ustatkowali się w wydatkach i każdy grosz wydawany sto razy obejrzeli.

— Wyborna myśl—odezwała się wesoła szatynka składając rączki radośnie — w tym celu załóżmy towarzystwo z samych panien złożone, przyrzekających pod honorem, nie wychodzić za mąż inaczéj jak tylko za takich, co obok skromnéj powierzchowności, wykształcenia, pracowitości i uczucia własnéj godności, każdym czynem dowodzić będą, że nie na to żyją żeby jedli, tylko na to jedzą i piją żeby żyli.

— Ho —ho—ho! — proszę pań — odezwała się pokojówka miejscowa figlarnie pokręcając głową — to warunek strasznie twardy, mógłby nas skazać na wieczne panieństwo. Bo gdzie teraz szukać podobnych kawalerów? Ale zróbmy tak, chodźmy w kapeluszach trzyrublowych dopókiśmy pannami, a potem jak Bóg da, czyż to tak trudno męża wodzić za nos? Gdyby miał sto nosów, to co innego, ale o jednym nie ma nawet co mówić.

Pokojówka choć prosta dziewczyna, rzecz bardzo trafnie rozstrzygnęła. Mężczyźni krzyczą na kobiety, nie widząc belek we własnych oczach. Poprawa od nich wyjść musi, kobiety jednak powinny być do tego podnietą, bo mogą wiele, bardzo wiele. Pojmując łatwo co dobre i pożyteczne, wszelkie zmiany szybko przeprowadzają choćby je przyszło wydobywać z pyłu przesądów wiekami nagromadzonego.

Nie tak zbyt dawno, jak jedynem kobiet zatrudnieniem, zmuszonych pracować na swe utrzymanie, była igła i nauczycielstwo, dziś nieporzucając tych tyle pożytecznych zajęć, zaczynają nawet u nas probować innych zatrudnień o jakich dawniéj nie pomyślano. Znam kobiety prowadzące handle, interesa bankierskie, przedsiebierstwa przemysłowe, fabrykacje, mamy już zakład fotograficzny panny Bartkiewiczównéj, niedawno widziano w Warszawie, kobietę w mundurze służby przy telegrafach, a sztuka drzeworytnicza, nie tylko coraz więcéj zdobywa zwolenniczek, ale kształci się i posuwa naprzód współzawodnicząc śmiało z zagranicą. Świeży tego dowód widzieliśmy na drzeworycie wykonanym rączką panny Marji Kuczuwnéj córki Redaktora Kurjera codziennego, a pomieszczony w numerze 188 Wędrowca. Przedstawia on mrówki Termity: w pośród roślinności podrównikowéj znajduje się gniazdo tych ciekawych owadów, dla lepszéj obserwacji wnętrza, przecięte na dwoje. Tuż przy nim pełznie jedna z tych mrówek zwana żołnierzem, daléj druga i trzecia, a nad pupką unosi się czwarta skrzydlata z rozwiniętemi skrzydełkami. Szczegółów tam drobnych mnóstwo, owe listki, trawki, zagięcia i cienie, wymagają niezmiernie starannego i umiejętnego odrobienia, żeby należycie uwydatniły rzecz przedstawianą i zachowały wszystkie warunki dobréj perspektywy.

W pracy panny Marji Kuczuwnéj przymioty te jaśnieją w całéj swéj pełni, że śmiało współzawodniczyć może z każdym drzeworytem zagranicznym jak najstaranniéj wykonanym. Jeżeli młoda pracownica

której te słów kilka z prawdziwą poświęcam przyjemnością, pójdzie dalej w kierunku obranej pracy, to nie tylko stanie się prawdziwą ozdobą sztuki drzeworytniczej ale wpłynie stanowczo, na usunięcie raz na zawsze potrzeby sprowadzania z zagranicy, tyle kosztownych klisz i drzeworytów. Życzę tego szczerze co jeżeli się spełni, zawdzięczemy to młodym panienkom o słabej niewieściej dłoni.

O UBIORACH

Oglądaliśmy świeżo sprowadzone jesienne okrycia do magazynu Pana Dziechcińskiego przy ulicy Miodowej. Składają się po największej części z paletocików z lekkich syberyn lub grubych angielskich wełnianych wyrobów, w cenie od rs. 12 do 25. Dla młodych osób podobały się nam paletociki na tle białem w centki orzechowe z wystrojem tegoż koloru i kapturkiem, wyłożonym orzechowym *poult de soie* lub bez kapturka z kołnierzykiem. Dla osób starszych są bardzo ładne paletociki koloru cynamonowego w różnych odcieniach, przybrane pasmanterją tegoż koloru mieszane z czarnem. Burnusy z *Draps de velours* w czarnym i dzikich kolorach, z wycięciem na wyłożenie ręki, nadzwyczaj wygodne i ładnie ubierają osoby wysokiego wzrostu. Od spodu wycięcia mają przyczepione krótkie rękawki, które można wykładać na wierzch lub chować pod spód do upodobania. Przybrane bywają taśmą czarną jedwabną przetykaną dżetem *(jais)* kosztują od rs. 20 do 30. Grube zimowe paletoty mogące w lekkie mrozy zastąpić futro, są od rs. 14 do 25. Okrycia których spodziewają się później w tymże magazynie, opiszemy znów gdy nadejdą.

Oglądaliśmy u pani Włodkowskiej kilka pięknych sukien, które tu opiszemy. Suknia fioletowa *poult de soie* strojna atłasem tegoż koloru w nieco ciemniejszym odcieniu. Spodnia spódnica krótsza, naszyta była trzy razy plisą z tegoż atłasu na trzy cale szeroką, pomiędzy zaś temi odstępami od plis (na ćwierć łokcia szerokiemi) szła dwa razy frendzla jedwabna fioletowa; druga długa spódnica podpięta jak tunika, naszywana była także frendzlą i atłasem w duże śpiczaste zęby. Staniczek był wycięty w kwadrat, i również jak pasek i wązkie rękawy, ogarnirowany stosownie atłasem.

Suknia *poult de soie* różowa, na niej biała muślinowa ze wstawkami haftowanemi garnirowana koronką *Cluny*. U dołu spódnicy wolant plisowany w jedną stronę i zakończony wstawką.

Suknia gładka jedwabna koloru *maïs*. Spódnica na drugiej krótszej podniesiona w kilku miejscach kokardami, stanik z małą baskiną otwartą z boków, garnirowany wstawkami z walansienki, oszytemi tegoż gatunku koroneczką. Staniczek wycięty był czworograniasto, obłożony u góry takąż wstawką. Rękawy wązkie naszywane u dołu po trzy razy walansienką, u góry zaś raz tylko koroneczką przyszytą do wstawki.

Suknia wełniana popielata, strojna materją błękitną. Boki sukni wyszyte trzema plisami z błękitnemi wypustkami. Tylne bryty gładkie, przód wyszyty w kolumny utworzone z plis z wypustkami i frendzli popielatej. Staniczek gładki spięty na guziki błękitne, epolet u rękawa przybrany frendzlą i plisą podobną jak przód sukni. Pasek błękitny zakończony kokardką i tegoż koloru krawatka pod kołnierzyk. Toż samo garnirowanie można wyszyć aksamitką lub wstążeczką, wtedy oszczędzi się materjału na suknią, gdyż plisy już niepotrzebne.

Suknia lilla *poult de soie* garnirowana czarną gipiurą mieszaną z dżetem, miała u dołu falbankę zakończoną gipiurową wstawką u góry. Tunika wierzchnia miała jeden bok otwarty i spojony pięcioma kokardami stopniowanej wielkości, najmniejsza była u góry, a u dołu największa. Tunika ta do koła garnirowaną była tak samo jak dół sukni. Stanik miał wystrój naszyty w kształcie kanzucika, z pod którego wychodziły dwie szarfy zachodzące do połowy spódnicy. Rękaw wystrojony dwoma kokardami, większą i mniejszą u góry jak bok u tuniki.

Widzieliśmy również u pani Włodkowskiej kilka bardzo ładnych ubiorków na głowę. Ubrania te składały się z koronki w kształcie wachlarza, który układa się na głowie. W pośrodku na nim przycze piał się płaski wianek z drobnych kwiatów, od którego z tyłu spadały na plecy dwie wstążki tegoż koloru co kwiaty, pokryte koronką takąż samą jak ta co tworzy wachlarz. W miejscu wianka z kwiatów kładzie się także jeden duży płaski kwiat, lub motyl wyhaftowany czarną lawą, jeżeli ubiorek ma być mniej strojny.

Opis bielizny, czepeczków i sukien.

N. 1. Koszula męzka z przypinanym kołnierzem. (Krój na odwrotnéj stronie arkusza od Nr. 1 do 7).

N. 2 i 3. Kołnierzyk i rękawek zwany: *Richelieu.*

N. 4. Kołnierzyk płócienny stojący z wykładanemi rogami. W narożnikach bukieciki haftowane atłaskiem.

N. 5. Rękawek odpowiedni.

N. 6 i 7. Kołnierzyk i rękawek *Van-Dyck.* (Forma na drugiéj stronie arkusza N. 21 i 22).

N. 8. Fartuszek dla dziewczynki od 3 do 5 lat. (Forma od N. 10 do 12).

N. 9. Pelerynka tiulowa z obszyciem koronkowem. (Forma N. 13).

N. 10. Koszula nocna dla kobiet. Przody i mankiety układają się w zakładki i przeszywają wstawkami haftowanemi. Kołnierzyk stojący z wykładanemi rogami, garnirowany falbanką półbatystową. Karczek z tyłu z dubeltowego płótna, jak u koszul męzkich.

N. 11. Kaftanik półbatystowy na rano, z bufkami marszczonemi i wstawką haftowaną *à la grecque.*

N. 12. Sukienka z białego półbatystu, nanzuku albo muślinu dla dziecka noszącego się na rękach. Przód garnirowany *wodą* zaokrąglającą się do tyłu, trzema haftowanemi wstawkami, obszytemi walansienką i dwiema falbankami u samego dołu. Przód sukienki wraz z stanikiem kraje się w całości 90 centymetrów długi. Plecy z dwóch części, dodając na szeroki obrąb, w którym robią się 4 dziurki do guzików. Cała sukienka u dołu ma 200 centymetrów szerokości. Po zeszyciu pleców z przodem, podszywają się w stanie paskiem półbatystowym 1 centym. szerokim, do nawleczenia tasiemek do wiązania, wykrój około szyi obejmuje wypustkę i garniruje falbanką. Wstawki haftowane obszyte walansienką i pasek półbatystowy z rozetą na boku, zdobią stanik na przodzie. Rękaw każdy kraje się w całości, marszczy z obydwóch stron, wszywa u dołu w gładki paseczek, a następnie w pachę objętą wypustką.

N. 13. Czepek siatkowy z cienkiéj i wązkiéj plecioneczki bawełnianéj, garnirowany falbanką półbatystową. Do czepeczka tego potrzebna: wąziutka biała plecionka, cienki biały batyst, wązka koroneczka, wstążka kolorowa szersza i węższa. Wykonanie téj siateczki nader jest łatwe, a ogarnirowanie składa się z falbanek batystowych i bufeczki podłożonéj wązką kolorową wstążką. Do wiązania czepeczka przyszyte są szerokie końce ze wstążki tego samego koloru, jak podwleczenie pod bufką. Siateczkę zrobić trzeba z najwęższéj białéj plecioneczki na wałeczku grubym objętości 2 centym. Zacząć na mocnéj nitce 5 oczek, robić tam i napowrót 23 rzędy, robiąc w trzecie oczko poprzedniego rzędu i w następnych rzędach ciągle w to samo oczko po dwa oczka, tak że zrobiwszy 23 rzędy, będziemy mieli 28 oczek, potem robić gładko to jest w każde oczko jedno oczko, aż do 39 rzędu, od 39 rzędu aż do 54, znów się ujmuję to jest na początku każdego rzędu 3 i 4 oczko razem się igliczką jakby jedno przerabia; tym sposobem ilość oczek przy skończeniu 54 rzędu o 14 oczek to jest o połowę się zmniejszy. 55 rząd aż do 57 robić gładko i siateczka ukończona. — 14 oczek ostatniego rzędu i po 7 oczek po bokach z obydwóch stron nabrać na gummoelastyczny biały sznurek lub tasiemkę 20 centymetrów długości i obydwa końce przymocować do 8 oczka bocznego z obydwóch stron.

Czółko półbatystowe 2 i pół centymetrów szerokie i 42 długie należy przykroić z podwójnie złożonego materjału, na środku zeszyć w ukos przez co nad czołem uformuje się zgrabny ząb i pasek ten przyszyć do siatki w ten sposób, że 5 oczek górnych na środek paska, a reszta po bokach na obydwie strony paska przypadną, uważając aby z obydwóch stron czółko na 4 centymetry wystawało. Na garnirowanie czółka przykroić z batystu dwa kawałki, jeden 88 centymetrów, a drugi 120 centym. długie, obydwa po 2 i pół centym. szerokie i obszyć z jednéj strony wązką koroneczką. Pierwszy kawałek 88 centym. długi przymarszcza się zwyczajnie i przyszywa na brzegu czółka od połowy środka ku bokom, zwężając coraz bardziej przez 14 centym. na każdéj stronie. Drugą falbankę ułożyć w kontrafałdki i przyszyć przez całe czółko od jednego końca do drugiego, przez co falbanka u góry czepeczka będzie podwójna, a po bokach pojedyńcza. Na bufkę przykroić pasek 6 centym. szeroki a 76 długi, obrąbić z jednéj strony, z drugiéj zaś strony u samego brzega, i o 4 centym. niżéj wszyć dwa sznureczki 42 centym. mające długości, ściągnąć po uszyciu w bufeczkę, nawlec ją wstążką i przyszyć w ten sposób, aby obrąbiona falbaneczka opierała się na siatce. Końce szerokiéj wstążki do wiązania pod brodą ogarnirować u dołu falbanką batystową, obszytą u dołu koroneczką. Zamiast wstążek można zrobić bandaże z batystu.

N. 14. Ubranie głowy z lokami. Trzy przepaski aksamitne, zakończone z boków kameami, przyszyte są do elastyki, która się zakłada pod loki.

N. 15. Czepek tiulowy *Pamela* garnirowany koroneczką; bufka tiulowa podwleczona wstążką, przechodzi przez środek czepeczka i służy za szarfy do wiązania.

N. 16. Pelerynka muślinowa. (Forma oznaczona jest pod szyję i z wykrojem kwadratowym według woli N. 8 i 9.

N. 17. Czepek z gipiury *Cluny*, ubrany wstążką niebieską. Szarfy obszyte koronką.

N. 18. Czepek muślinowy *à la Marie Stuart*, przybrany koronką kluni i wstążką lilla.

N. 19. Czepek muślinowy *Pamela*, garnirowany koronką Irlandzką. Na wierzchu czepeczka naszyta wstawka w środku któréj umieszczona rozeta ze wstążki różowéj. Od rozety téj pod czepeczkiem przyszyte szarfy różowe do wiązania pod brodą.

N. 20. Suknia z ciemno brązowéj popeliny ubrana jedwabnym sznurem nieco ciemniejszéj barwy. Spódnica w kliny, ułożona u góry w głębokie kontrafałdy, nadające jéj kształt Gabrjeli, zupełnie płaskiéj na biodrach. Naszycie ze sznuru zwiększa się ku dołowi spódnicy. Guziki szmuklerskie wypukłe.

N. 21. Suknia z niebieskiego gładkiego *poult de soie* z białą tuniką grecką *Peplum.* Deseń na tunice wyszyć można niebieską wstążeczką, aksamitką albo sznurkiem okrągłym jedwabnym. Krój tuniki i stanika ułożonego w rurki, zupełnie jest jednakowy, tak na plecach jak i na przodzie. Modestka tiulowa obszyta blondynką otacza wykrój stanika; sznur niebieski zakończony kwastami uzupełnia ubranie.

N. 22. Kołnierzyk płócienny garnirowany falbanką półbatystową dzierganą. Na pliskach przodu naszyte webowe guziczki.

N. 23. Rękawek z mankietem odpowiednim.

N. 24. Paletocik czarny kaszmirowy na jedwabnéj podszewce, naszyty szlifowanemi lub gładkiemi perełkami czarnemi. Kapturek z deseniowego tiulu, przyozdobiony

koronką i kokardą ze wstążki lub aksamitki z grelotkami przy końcach. Dół paletocika i rękawy zdobi koronka gipiurowa lub *Chantilly*. Paletocik taki wykroić można z chustki kaszmirowéj, dając według woli desenik łańcuszkowym ściegiem i perełkami wyszyty, albo garnirując go koronką bez dodania kapturka. Kapelusz słomkowy *Pamela* obszyty naokoło grelotkami słomkowemi. Z boku pęczek fijołków. Szarfy koloru słomkowego.

N. 25. Kołnierzyk płócienny *col-juge* garnirowany koronką Irlandzką.

N. 26. Rękawek odpowiedni.

N. 27. Beduina z wyrobu wełnianego zwanego: *bain de mer* w czarne i białe pasy, przyozdobiona kwastami angorowemi. Użyć także można na beduinę: elastyny, kaszmiru albo też materjału z którego suknia zrobiona. Na zrobienie okrycia potrzeba wyrobu 280 centymetrów długiego i 101 szerokiego. Szerokość stanowi długość beduiny z tyłu.

N. 28. Krawatka może być uszyta z materji jedwabnéj albo zrobiona ze wstążki 3 centymetry szerokiéj. Końce śpiczasto ścięte przyozdobione są kwaścikami jedwabnemi i gwiazdkami z białéj lub czarnéj gipiury.

N. 29. Kołnierzyk płócienny w kształcie krawatki, spięty w środku na guzik.

N. 30. Rękawek odpowiedni.

N. 31. Gabrjela wycięta do gorsu z niebieskiéj materji *poult de soie*, ubrana białemi margerytkami. Krótki stanik nakształt gorsecika, uzupełniony jest tiulową bertą i takiemiż rękawkami krótkiemi. Do przystrojenia głowy służyć powinny margerytki, jak również kolczyki i bransoletka z porcelany w takim samym guście.

N. 32. Suknia z bareżu, gazy-grenadinowéj, albo organtyny na białem tle w kolorowe paski bez garnirunku żadnego. Objęcie stanika u góry, jak pukle na krótkich rękawach ze wstążki koloru pasków. Modestka u góry nawleczona wąziuchną aksamitką do ściągania. Pasek z kolorowéj wstążki ozdobiony w środku rozetą.

Opis formy koszuli mezkiéj, fartuszka dla dziewczynki od 3 do 5 lat, stanika dla dorosłéj osoby, dwóch pelerynek tiulowych i kołnierzyka płóciennego z mankietem.

N. 1. Przednia i tylna część koszuli męzkiéj oznaczona na jednéj formie.

N. 2. Połowa karczka.

N. 3. Połowa paska do karczka.

N. 4. Połowa rękawa.

N. 5. Połowa mankieta.

N. 6. Połowa paska do kołnierza.

N. 7. Połowa kołnierzyka. Obie części koszuli przykroić z płótna odpowiedniéj jak potrzeba długości i rozpór rozciąć podług oznaczonéj długości. Przód ułożyć w drobne albo szersze zakładki, a jeżeli płótno nie zbyt cienkie, wstawić gotowy gors z cienkiéj weby, uważając aby zakładki na bokach szew przykrywały. Trzeba wtenczas wyciąć płótno po obu stronach, zostawiając z każdéj strony po 29 centymetrów na szerokość do przyszycia gorsu. Boki koszuli które w modelu mają 79 centym. długości zeszyć, zostawiając odstęp jak zwykle u dołu do wszycia klinika, rozcięcie w poprzek koszuli przy gorsie u dołu zmarszczyć, zeszyć wraz z gorsem żeby szew przypadał z prawéj strony i przystebnować z wierzchu pasek 1 i pół centym. szeroki. Listewkę pod środkowym obrębem zapatrzyć trzeba we dwie dziurki, a na drugiéj stronie gorsu przyszyć w odpowiednich miejscach guziki. Linja prosta na formie oznacza plecy, które marszczą się u góry, zostawiając z każdéj strony brzegu gładki odstęp na 9 centym., łączą się z karczkiem dubeltowo krajanym za pomocą stebnówki, podług liter B i C, a na ramionach od litery D do E. Pasek z guziczkiem z tyłu do przypięcia kołnierzyka, kraje się podług Numeru 3-go w całości dubeltowo, przystebnowywa do karczka i zaopatruje w dziurkę i guziczek do zapinania z przodu.

Kołnierzyk wykładany, krajany w całości z dubeltowéj weby, stebnuje się naokoło, przyszywa do paska skrajanego podług Numeru 2-go i osobno się przypina do wązkiego paska, znajdującego się przy karczku. Dla osób mających krótką szyję, dostateczny jest pasek Nrem 6-tym oznaczony, ktory się do koszuli przyszywa i do niego kołnierzyk przypina. Rękaw każdy kraje się w całości podług Numeru 4-go, zeszywa od H do gwiazdki, zostawiając miejsce do wszycia klinika w trójkąt złożonego, marszczy u ręki i przystebnowywa mankiet uszyty z dubeltowego płótna podług litery K J. Można też rękaw przymarszczyć do gładkiego wązkiego paska i mankiety urządzić do przypinania. W pachę wszywa się rękaw zupełnie gładko i podwrębia na jeden centymetr szerokim obrąbkiem.

N. 8. Połowa przedniéj części pelerynki.

N. 9. Połowa pleców. Pelerynkę taką zrobić można z czarnego lub białego tiulu albo też z materjału sukni czy to z bareżu, muślinu lub materji jedwabnéj. Komu się wykrój kwadratowy nie podoba, wyciąć może pelerynkę wysoko pod szyję, jak to oznaczono na formie. Z tiulu lub muślinu układa się prosty kawał w fałdki jak wskazują linje na formie i wycina się przód z dwóch części złożony i plecy w całości. Czarna pelerynka zdobi się koronkowemi wstawkami na podwleczeniu kolorowem, biała zaś muślinowa haftowanemi wszywkami i walansienką, dodając na zakończenie 7 centymetrów szeroką falkankę z zakładeczkami i walansienką, albo też czarną koronkę téj samėj szerokości. Do pelerynek z innych materjałów zamiast wstawki użyć można wstążeczkę lub pasmanterją.

N. 10. Połowa karczka do fartuszka dla dziewczynki od 3-ch do 5-ciu lat

N. 11. Epolet.

N. 12. Kieszonka. Fartuszek ten okrywa całą sukienkę i da się użyć zarówno dla starszych jak i młodszych dzieci, stosując szerokość i długość jego do wzrostu dziecka. Zrobić go można z perkalu, półbatystu albo płótna szarego — długość przedstawionego na rycinie wynosi 44 centymetrów, szerokość 122 centymetry. Gdy już dół ułożony w 4 wązkie zakładki, obrębia się fartuszek z boków półtora centymetra szerokim obrąbkiem, u dołu zaś szerszym na 2 i pół centymetra. Górną część zmarszczyć należy i przyszyć do karczka krajanego w całości, następnie wyciąć pachy, wszyć epolety i przyozdobić tak karczek, jak epolety i kieszenie przystebnowanemi skośnemi paskami i dzierganą falbanką. Wykrój szyi obejmuje się wypustką i sznurkiem do ściągania, z tyłu zaś karczku dziergają się trzy dziurki z jednéj strony, a z drugiéj przyszywają trzy guziczki płócienne do zapinania. Na skośnéj listewce przystebnowanéj na karczku wyhaftować można pęczki lub też brak plisek zastąpić plecionką.

N. 13. Połowa pelerynki tiulowéj. Materjał składa się wzdłuż dubeltowo na środek formy pleców i wycina się

w całości, garnirując kanzucik u dołu marszczoną koronką 8 centymetrów szeroką.

N. 14. Przednia część stanika pod szyję.

N. 15. Boczek.

N. 16. Połowa pleców.

N. 17. Połowa paska.

N. 18. Rękaw.

N. 19. Epolet.

N. 20. Krótki rękawek. Podług formy téj zarówno zrobić można stanik pod szyję jak i wycięty — obwód jego w ramionach trzymać będzie 88 centymetrów na około, w stanie zaś 60 centymetrów. Stanik pod szyję zapina się zwykle z przodu na guziki, wycięty podług upodobania: na plecach lub na przodzie. Na zaszycie przypuścić trzeba przy wszystkich częściach, a po zeszyciu stanika podług liter oznaczonych powciągać fiszbiny. Rękaw każdy krajany z dwóch części podcina się u góry jak linja wskazuje, obszywa epoletem objętym wypustką i pliską z gładkiego materjału sukni albo też wąziuchną aksamitką. Odpowiednie zęby, z jakich się składają epolety zdobią dół sukni. Pasek z materjału sukni podszyty perkalem i sztywnym muślinem zakończa się haftkami do zapinania i fałdowaną rozetą. Do stanika wyciętego umieszczony jest pod Numerem 20-tym rękawek krótki, który zeszyty od A do W i zmarszczony u góry wszywa się do pachy i garniruje blondynką, falbanką albo ruszą fałdowaną.

N. 21. Połowa kołnierzyka zwanego *Van-Dyk.*

N. 22. Mankiet. Kołnierzyk i mankiety krają się z dubeltowego płótna w całości i obszywają zupełnie gładko koroneczką klunipółtora centymetra szeroką, przymarszczoną nieco w rogach.

ROZMAITOŚCI.

PTAKI.

(Dalszy ciąg).

Gil może być wzorem domowego pożycia; ściele gniazdko razem z samiczką, a podczas gdy ona wysiada jajka, przynosi jéj troskliwie żywność. Zamknięty w klatce nie mnoży się prędzéj jak po trzech latach. Z połączenia Gilów z Kanarkami, powstają ptaszęta z ładnem pierzem, śpiewające bardzo przyjemnie. Gdy te wylęgną się z jajek należy przesadzić Gila w osobną klatkę, gdyżby zadziobał pisklęta, poznając w nich ród obcy. Maleńkie karmią ciastem złożonem z ośródka chleba, żółtka i z gniecionego nasienia rzepaku. Ciasto to trzeba zmoczyć słodkiem mlekiem, aby nie było gęste. Niektórzy dodają do tego siemie konopne, lecz ptaszęta karmione niem za młodu, krótko zazwyczaj żyją. Stare Gile karmią prosem, rzepnicą, i od czasu do czasu rozgniecionem siemieniem konopnem.

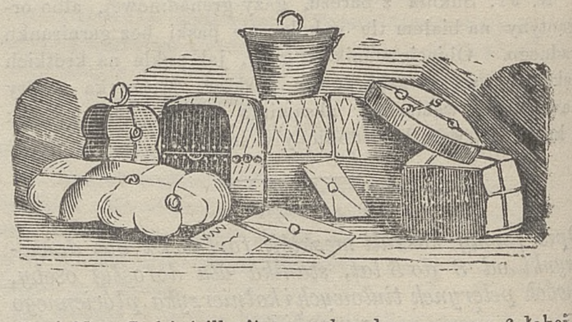
Gil ma wyborną pamięć, uczy się łatwo śpiewu, naśladując flecik lub piszczałkę. Kiedy mu nuta nie przypadnie do smaku, odmienia ją zwykle na swój sposób.

Szczygieł. Śpiew Szczygła dosyć jednostajny, ale piórka jego bardzo piękne, a postać pełna wdzięku. Hodowany w klatce, wielką sprawia przyjemność lubownikom, gdyż się mnoży i wysiada jajka po trzy razy do roku. Z połączenia Szczygłów z Kanarkami, piękna powstaje odmiana, łącząca w sobie zalety obudwóch gatunków. Samica Szczygła nadzwyczaj przywiązana do gniazda. Naturalista Sonnini, przytacza wypadek, którego był naocznym świadkiem.

Gwałtowna burza zniszczyła zupełnie jego ogród; Szczyglica która siedziała w gniazdku na wiśni, nie zbiegła ani na chwilę z jajek. Po burzy wzięła się co żywo do naprawy uszkodzonego gniazdka, po czem siadła na jajkach nim wystygły, i pomyślnie wysiedziała pisklęta.

Jajka Szczyglicy są białe, nakrapiane czerwono od grubszego końca; znosi ich zwykle pięć na wiosnę; cztery w połowie lata, a trzy tylko w Sierpniu. Te ostatnie najlepsze do hodowania w klatce, najładniéj bowiem śpiewają i żyją dłużéj od innych. Szczygły lubią nadzwyczaj nasienie ostu i sałaty. Trzeba im dawać w klatce od czasu do czasu ten przysmak; zwykle zaś można je karmić prosem i rzepnicą jak Kanarki.

(d. c. n.)



Pani Słot. Łokieć illuzji na welon burnusowy, 6 łokci szerokiéj kosztuje rs. 1 kop. 20 — o połowę węższa illuzja po kop. 60.

Pani Kamilli Hry. Jedenaście numerów Tygodnika Mód wysłaliśmy powtórnie. Zatrata numerów lub nieregularny ich odbiór nie z winy Redakcji pochodzi.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina ze wzorami bielizny, czepeczków i sukien oraz formy: koszuli męzkiéj, fartuszka dla dziecka, stanika dla dorosłéj osoby, dwóch pelerynek tiulowych i kołnierzyka płóciennego z mankietem.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

(Dodatek).

Dodatek do Nr. 36 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 27 Sierpnia (8 Września) 1866 r.

OBRAZKI

Z PODRÓŻY DO AUSTRALJI

PRZEZ

Wawrzeńca K.

I

NA OKRĘCIE.

W połowie Września roku 1850, po morskich otchłaniach szybował okręt przodem zwrócony ku brzegom Australji. Był to parostatek jeden z największych, bo nie tylko poruszał się szrubą Archimedesa o sile pięćset koni, ale nadto cztery wydęte maszty unosiły się po nad jego pokładem. Z pieców buchał ogień, z kominów snuł się dym, para szumiała, stemple pracowały, a powierzchnia wód morskich mieniąca się bałwanami pruta piersią parowca, pieniła się pryskając pianą na obie jego strony.

Chociaż słońce tylko co weszło, zapowiadając dzień ładny i ciepły a co najważniéjsza spokojny i wolny od burzy i huraganu, pokład już się roił podróżnikami. Zaraz bowiem po wschodzie słońca miały się pokazać brzegi Australji, a kto od kończyn Afryki przez dni kilkanaście nie widział ziemi, tylko jak duch pokutujący błąkał się po morskich obszarach, mając niebo nad głową a wodną topiel pod nogami, ten dospać nie może czując ląd niedaleko. To też podróżnicy stojąc w różnych grupach złożonych z kilkunastu narodowości, gwarzyli wesoło patrząc pilnie w horyzont czy nie dojrzą choćby małego punkcika zwiastującego ziemię. Okręt tymczasem pchany podwójną siłą pary i wiatru, leciał jak szalony ubiegając po dwanaście mil na godzinę.

Przy jednéj stronie burtu okrętowego, stał młody człowiek w towarzystwie młodéj równie kobiety, widocznie żony jego. Trzymając się pod ręce, oboje z wielkiem zajęciem patrzyli w puste oceanu obszary, nad któremi w dalekiéj przestrzeni wiszące kłęby chmur pierzastych, zdawały się tworzyć góry te najpierwsze zwiastuny zbliżającego się lądu. On niespełna trzydziestoletni, ciemny blondyn, wysokiego dosyć wzrostu i z zupełnym zarostem twarzy, był przystojnym bardzo mężczyzną, a nawet pięknym, owym szlachetnym prawdziwie męzkim wyrazem oblicza, co świadczy zarazem o sile ducha i zacności serca. Osłonięty pół płaszczykiem, trzymał drobną rączkę swéj żony, a drugą odrzucał wymykające się z pod kapelusza włosy, które w gęstych puklach okalały mu całą szyję. Ona młodziutka zaledwie osiemnastoletnia szatynka, z całym wdziękiem młodości, pełna powabu i uroku, z pewnym smutkiem patrzyła przed siebie i tuląc się do małżonka, zdawała się myślą biedz w krainę wspomnień i przeszłości. Spojrzenia ich tak były wytężone, uwaga tak zajęta wypatrywaniem spodziewanego lądu, że nawet nie zwracali uwagi na blizko siebie stojącego młodego towarzysza, który bawiąc się łańcuszkiem od zegarka, pykał dymem z cygara i nucił jakąś piosnkę wesołą z czystym paryzkim akcentem Daléj stały inne kółka, inni się przechadzali, lub zabawiali rozmową z siedzącem na ławkach towarzystwem; inni wreszcie ze zwieszonemi głowami wpatrywali się w pokład, rozważając zapewne, czy stratę tego co zostawiali po za sobą, wynagrodzi im świa nowy do którego gnała ich konieczność albo ułudna nadzieja.

Trzy osoby któreśmy już poznali, zwracali powszechną na siebie uwagę. Żadna grupa przechadzających się nie przeszła koło nich, żeby nie spojrzyć lub nie rzucić kilku słów żartobliwych, na które młody Francuz palący cygaro zawsze równie żartobliwie odpowiadał.

Po drugiéj stronie okrętu także przy burcie, siedział jakiś średnich lat mężczyzna, przez całe płynące towarzystwo, zwany *niemy pustelnik*, bo nie tylko, że widocznie unikał towarzystwa, ale prawie nikt a przynajmniéj mało kto słyszał go mówiącego. Zawsze sam, po całych dniach przesiadywał w kabinie, na pokład wychodził tylko w tenczas, kiedy był pewny, że nikogo na nim nie znajdzie, a jeżeli czasem znęcony pięknością dnia lub niezwykłym jakim widokiem, wyszedł ze swojéj nory, zawsze siadał na uboczu, jakby od towarzystwa chciał się usunąć jak najdaléj. Jakiéj był twarzy, lub jakiego wieku przynajmniéj, trudno było odgadnąć, miał bowiem gęste, czarne i bardzo długie włosy, kryjące mu prawie całe czoło; takież wąsy, brodę i faworyty, a na oczach okulary wypukłe, zasłaniające zupełnie twarz pasem idącym od jednéj skroni do drugiéj. Na wązkim tylko a widocznym kawałku czoła po nad samemi brwiami, odznaczały się zmarszczki bardzo ruchliwe, a na policzkach plamy żółtawe zwyczajne bardzo u jasnych blądynów, ale nigdny prawie u brunetów tak czarnych jakim był nieznajomy podróżny. Nazywał się Jerzy Fellów a według wiadomości ściągniętych od kapitana był Holenderczykiem stale w Australji osiadłym, do której właśnie wracał po odwiedzeniu rodzinnego kraju i zawiązaniu kupieckich stosunków. Przypuszczano, że był bardzo bagatym, miał bowiem oddzielną zupełnie kabinę, w któréj mieszkał ze swym służącym, a u kapitana szczególne poważa-

nie jakie zwykle pełna kieszeń wszędzie dla siebie zdobywa. Że jednak nikomu nie zawadzał a w stosunkach był nader grzecznym, pełnym uprzejmości i zawsze ustępującym, zostawiono go więc w pokoju, poprzestając na nazwie *niemego pustelnika* pod którą znano go ogólnie i nigdy inaczéj nie nazywano. Towarzysz jego czy służący Dick, był to mężczyzna średniego wzrostu, krępy, barczysty, niby taran do rozbijania fortecznych murów, uśmiechnięty zawsze, ale przytem miał w twarzy coś tak odpychającego, że spojrzawszy na niego mimowoli pewien wstręt przejmował. Jaki stosunek łączył tych dwóch ludzi z sobą, trudno było odgadnąć, bo chociaż obadwa do pierwszéj na okręcie należeli klassy, jednak pan Felłów często domagał się od niego posług, jakich się żąda od zwyczajnego służącego, a ten nie tylko ich nie odmawiał, ale spełniał z największą gorliwością.

Tą razą Dick o kilka tylko kroków znajdował się od swego pana i oparty plecami o burt okrętowy zdawał się przyglądać młodéj parze i paryżaninowi. Pan jego miał zwróconą twarz także w tę stronę, ale gdzie patrzył trudno było odgadnąć. Po chwili jednak zwrócił się ku morzu, w szybkiem poruszeniu ścisnął pięście, jakby niemi odpowiadał skrytéj rozmowie prowadzonéj z samym sobą, zadrgały mu nawet wargi ale w prędce uspokoiwszy się szepnął przytłumionym głosem, jakby wychodzącym z głębokiego lochu:

— Dick! nie zapomnij o Francuzie, pamiętaj mieć go na oku. Jest to rzecz ważna a przy wylądowaniu w tumulcie łatwo wyjść może z pamięci.

— Dobrze milordzie — odrzekł Dick — bądź spokojnym.

Tymczasem Francuz nie domyślając się nawet że jest przedmiotem tajemnéj rozmowy Dicka ze swoim panem, oparł się plecami o balustradę i rzekł:

— Miss Lenoro, przestań pięknem swojem okiem wodzić po pustym oceanie. Stary to i nudny tetryk, pomimo serdecznego twego życzenia, ani na metr jeden nie przybliży lądu z takiem upragnieniem wyglądanego. Ot lepiéj spojrzyj na mnie lub na swego męża; wreszcie na naszego niemego pustelnika.......

— Och! panie Latour, byle nie na niego — przerwała Lenora mimowoli zwracając się ku przeciwnéj stronie okrętu — w postaci jego jest cóś tak dziwnego, bez wstrętu nigdy na nią nie mogę spojrzyć.

— To czysty zysk dla mnie — odrzekł Francuz — bo tym milszym zapewne ja ci się wydaje piękna Lenoro. Ale chwila niedaleka gdzie się z nim rozstaniemy raz na zawsze, a choć bawi mnie jego odosobnianie się, cieszę się jednak coraz większem zbliżaniem prawdziwie obiecanéj ziemi.

— Czy tylko rzeczywiście obiecanéj?

— Dla mnie będzie rajem — odrzekł mąż na zapytanie żony — bo w niéj zawsze będziemy razem, spokojni, bezpieczni, a choć może nas czekają ciężkie przejścia, ufam tyle w siły mojéj młodości, że pewny jestem wytrwania i zwycięźenia wszystkich przeszkód. Wreszcie nie będziemy tam bez pewnéj silnéj podstawy, która jakkolwiek nie da nam zupełnego bytu, zawsze jednak śmieléj pozwala patrzyć w przyszłość. Dwa tygodniki illustrowane, które ugodziły mnie na swego rysownika, są zasobne i znane z rzetelności: po dwóch latach z pewnością przedłużą umowę, bo świat tak nowy na długo dostarczać może materjałów niezmiernie ciekawych i zajmujących.

— Och! Jakóbie — odezwał się towarzysz młodéj pary — dla czegóż mnie nie wkręciłeś do jakiéj redakcji na illustratora? Widzisz jaki ty nie dobry!

— Przedewszystkiem zapominasz, że dopiero na okręcie dowiedzieliśmy się, że jedziemy razem......

— Ale mnie znałeś od młodego wieku, bo do dwudziestu blizko lat życia razem żyliśmy w Paryżu.

— Tak, to prawda, ale nie wiedziałem nic o twoim talencie, który widać późniéj się dopiero rozwinął, bo o ile wiem.......

— Nie mam go zupełnie — domówił Francuz — ale cóż to szkodzi? Wiesz a może i nie wiesz, że umiem wszystko czego ludzie żądają i za co dobrze płacą. W czasie pierwszéj méj bytności w Melbourne niezmiernie chuda była moja kassa. Z wydatkiem ostatniego szylinga przyszła rozwaga. Rzuciłem się więc w kuglarski zawód po kawiarniach stolicy Australji, cuda dokazywałem z kartami, połykałem widelce i noże, wyciągałem je potem z uszów, ust i nosa, zjadałem palącą się bawełnę snując późniéj tysiące łokci tasiemki, wstążek, słowem byłem kuglarzem pierwszorzędnym, majtki i górnicy przypatrywali mi się z rozdziawionemi gębami, bili brawo i sypali szylingami jak gradem. Ale pomału zarobek malał, kuglarstwo więc porzuciłem nie chcąc go zbytecznie wyczerpywać i zostałem malarzem pokojowym. Wprawdzie był to zawód dla mnie zupełnie nowy, ale od czegóż głowa na karku. Poszedłem do jednego z ziomków, malarza z profesji, pod jego okiem przygotowałem patrony, nauczyłem się mięszać kolory, i jak ufarbowałem jedno i drugie pomieszkanie, poczciwi Melburnczycy ledwo mnie nie rozerwali, co tak każdy pragnął upiększeń moją ręką dokonanych. Sława doprowadziła mnie do teatru, zostałem więc dekoratorem, późniéj aktorem, ale że w koleżankach nie mogłem się w żaden sposób zakochać, ruszyłem do kopalń i zostałem..... najprzód kucharzem naszego stowarzyszenia a potem górnikiem. Kucharstwo z początku nie tęgo mi się wiodło, najczęściéj potrawy były przydymione albo przyswędzone, koledzy krzywili się ale jedli bo górniczy żołądek strusiemu podobny, a smak niknie w podziemiach kopalnych. Potem wydoskonaliłem się na podziw wszystkim, tworząc pasztety i legominki, ale znowu mi zbrzydło to wieczne kręcenie się przy ogniu i pomywanie sprzętów kuchennych, chwyciłem się więc rydla i motyki górniczéj. Praca to była djabelska, kopać w głębokościach ziemi, babrać się w wodzie często po pas, ciągnąć kubły z ziemią i potem wymywać z niéj złoto, nie może się to nikomu podobać. Już chciałem czmychnąć od współki zaraz po wyrobieniu pierwszego dołu, i zostać pomocnikiem w handlu przy kopalni znajdującym się, do czego mnie sam kupiec namawiał, gdy nadspodziewanie znaleźliśmy bryłę czystego złota, ważącą już nie wiem wiele funtów, w tydzień potem drugą, a w miesiąc trzecią, które nas prześlicznym zasiliły groszem. Z królewską więc miną, z pełnemi przytem kieszeniami, udałem się do Melbourne, ale gdzież go porównać z Paryżem. Znudzony tym karłem naśladującym olbrzyma, wsiadłem na okręt i w trzy miesiące znalazłem się otoczony przyjaciołmi szanującemi mnie, jak żydzi złotego cielca ulanego w wędrówce po puszczy. Podobało mi się to niewymownie, Paryż wydał mi się rajem, bo żyłem prawdziwie po rajsku, po roku jednak za-

tęskniłem do Australji, a raczéj kieszeń moja zachorowała na pustki, i ot! znajduję się teraz z wami. Żywot więc australski zacznę na nowo, ale od końca, to jest że najprzód zostanę górnikiem, a w końcu aktorem, jeżeli kopalnia nie sypnie mi złotem. Mam nawet już plan gotowy i pewny jestem, że mi dopisze.

— Życzemy szczęścia — odezwała się Lenora rozweselona spowiedzią młodego szaławiły — ale mamy nadzieję, że pomimo nowego ubogacenia się jakiego ci życzemy całem sercem, to nas nie opuścisz i......

— Ja miałbym opuścić?—przerwał Latour—gdyby nie przyjaźń dla kochanego Jakóba, oczy twoje piękna Lenoro zbyt silną byłyby zaporą, abym sam siebie miał skazywać na tak straszliwą boleść.

— Hola, hola!—odezwał się z żartobliwym uśmiechem Jakób—wiesz Jasiu, że jestem zazdrosny, a takie jawne oświadczanie się.......

Dalszą rozmowę przerwało ogólne poruszenie zgromadzonych osób na pokładzie, kupiących się ku jego przodowi. Powodem tego było okazanie się na horyzoncie brzegów Australji, rysujących się w długiéj przestrzeni ciemnemi linjami. Australja — Australja! — zawołono zewsząd i każda twarz błysnęła niezwykłą radością. Jakób wyjął przybory rysunkowe, Lenora zamyślona patrzyła się w przestrzenie morza, a Latour złączył z tłumem nucąc daléj przerwaną piosnkę.

Tymczasem pośród wodnéj mgły, ląd stawał się coraz wyraźniéjszym. Okręt pędził z jedną zawsze szybkością, z owych ciemnych linji, co chwila rozszerzających się, zaczęły wysuwać się wzgórza, późniéj góry pokryte odwiecznemi lasami, ale nigdzie nic nie zwiastowało ludzi, wszędzie dziczyzna i pustynia. Około godziny jedenastéj służbowy oficer pokazał się na pokładzie; obszedłszy całe towarzystwo zbliżył się wreszcie do malarzy i doręczył im list od kapitana. Było to zaproszenie na objad, jakiem zwykle darzy swoich gości każdy kapitan, w ostatnim dniu długiéj podróży. Zwyczaj ten stosuje się szczególniéj do tych, co postępowaniem swem nie zakłócili nigdy ogólnego porządku, i z kapitanem zostawali w jak najlepszych stosunkach. Utrzymanie zaś tego stosunku nie jest łatwe, przepisy zachowania się niezmiernie surowe, bo od wypełniania ich zależy bezpieczeństwo wszystkich, a zachciewki ludzkie i domagania są tak nieraz śmieszne i dziwne, że największy zapas cierpliwości, taktu i wyrozumienia, nie wytrzyma i ulegnie pod naciskiem niezwykłych wybryczków. Chcąc więc zatrzeć powstałe z tego tytułu nieporozumienia, kapitanowie w ostatni dzień raczą swoich gości, aby w hojnym poczęstunku zginęła ich pamięć, a na ląd przeniosło się miłe wspomnienie wspólnéj biesiady, błyszczącéj ogólną wszystkich radością. Wprawdzie na morzu każdy kapitan to król samowładny, może gniewać się, łajać, aresztować a nawet zakuć w żelaza, ale na lądzie ulega prawom wszystkim służącym i za nadużycie może być pociągniętym do odpowiedzialności. Rzadkie niezmiernie wypadki aby to rzeczywiście miało miejsce, bo tak rządy jak stowarzyszenia, starają się bardzo troskliwie wybierać na kapitanów, ludzi wytrawnych, rozsądnych i niezmiernie przytomnych i wyrobionych, ale jednak skarga choć nie dowiedziona, choć najniesłuszniejsza, może jednak okręt dłużéj w porcie przytrzymać, niż osada była do tego przygotowaną, bo sądy muszą ją rozpoznać i wydać wyrok na korzyść jednéj lub drugiéj strony. To naturalnie pociąga za sobą wielkie straty, czemu zapobiegając kapitan żegna swych gości poczęstunkiem, i niejako skarbi ich świadectwo przychylne, gdyby przez kogo oskarżeniem został zaniepokojony.

Około godziny pierwszéj dzwonek oznajmił porę objadową, i wszyscy zaczęli gromadzić się do salonu, wyklejonego pięknem obiciem, zasłanego kosztownym dywanem, i błyszczącego dużemi lustrami poprawianemi w wielkie pozłacane ramy. W około ścian stały trzy długie stoły z zastawą na sto przeszło osób, środkiem zaś mieściła się służba dla przyjmowania z ręki do ręki półmisków, bo przy wachaniu okrętu, łatwiéj stojąc utrzymać równowagę, niż nieść zataczając się w różne strony. Przy środkowym stole, wedle angielskiego zwyczaju, na pierwszem miejscu zasiadł kapitan. Państwo Blenday siedzeli już także, przy nich było miejsce zostawione dla młodego ich towarzysza, ale go dotąd nie było. Przyszedł dopiero po spożyciu zupy, i kiedy go Jakób zaczął łajać za spóźnienie się, oświadczył, że zatrzymany został przez niemego pustelnika.

— Jakto?— zawołał ze zdziwieniem Jakób—przez naszego milczącego towarzysza podróży, tak wstrętnego dla Lenory?

— Tak jest przez niego.

— A i cóż go do tego skłoniło?

— Moje talenta, zalety i przymioty—odparł z dumą Francuz — pociągnięty niemi zaprosił mnie do siebie na codziennego gościa, co w Melbourne sławnym z drogości, nie małą stanowi dogodność.....

— I pójdziesz do niego? — zapytała jakby z przestrachem Lenora.

— Dla czegóżby nie?—odrzekł zagadnięty z uśmiechem—wprawdzie wolałbym, aby zaproszenie to wyszło z ust do twoich piękna Lenoro podobnych, ale kiedy to stać się nie może, nie mam powodu odmawiać mu grzeczności, która z kieszeni mojéj nie wyciągnie ani jednego franka.

W téj chwili Lenora krzyknęła i zasłaniając oczy rzuciła się na piersi męża, jakby szukała w nim obrony przed niebezpieczeństwem.

— On tam—on tam! — wołała wskazując ręką ku drzwiom wchodowym, w których szybie szklannéj dla przepuszczania światła, rysował się jakby cień znikającéj osoby.

— Kto taki, co za on? — zapytał przelękniony Jakób.

— On!—on!—Jakóbie broń mnie!

— Ale moja duszko uspokój się, czyż podobna coś podobnego przypuszczać. Tu mógłby być tylko duchem, a nie żyjącym człowiekiem......

— Mój drogi widziałam go, poznałam po spojrzeniu którem mignął jak błyskawicą.

— Zdawało ci się moja droga, tysiące mil nas rozdzielają, a tych się tak łatwo nie przebywa. Spojrzyj przecie po całym salonie, każda twarz znajoma ci...... i resztę słów domówił po cichu przy samem uchu młodéj małżonki.

Zdarzenie to cokolwiek zaniepokoiło całe zgromadzenie, ale z uspokojeniem się Lenory wróciła dawna swoboda. Robiono wprawdzie różne wnioski, domyślano się i przypuszczano, ale wreszcie zgodzono się, że domysły nie odsłonią tajemnicy, jaką każdy radby

był poznać, choćby tylko dla zabicia jednéj godziny nudów podróży.

Objad odbył się porządkiem wszystkich wystawnych biesiad—jedzono dwa razy tyle niż zwykle, pito tak samo, a gdy wniesiono kosze z szampańskiem winem, kobiety pożegnały towarzystwo, udając się do swoich kabin aby przygotować ubranie na wieczorną wspólną zabawę.

II

AUSTRALJA.

Jakkolwiek według opisów wypraw Holendrów, Australja przez nich miała być odkrytą, i dla tego nazwaną została Nową Holandją, jednak nie podpada wątpliwości, że Chińczycy znali jéj północną stronę od niepamiętnych czasów. Po Tazmanie który w odkryciu tem największe położył zasługi, drugim był Holandczyk Carsten wysłany powtórnie na zbadanie nowo odkrytéj ziemi.

W sprawozdaniu swojem opisuje ją jako okolicę pustą na wybrzeżach, niebezpieczną w przystaniach, mającą strumienie niezmiernie rzadkie i płytkie, a przytem zamieszkaną przez nieliczne pokolenia dzikich istot, brzydkich, niekształtnych, zaledwie podobnych do ludzi. Pomimo tego badań dalszych nie poprzestano, i pod tym względem prawdziwa zasługa należy się Holendrom i Hiszpanom. Anglicy jednak okazali się tu najczynniejszemi, i jak tylko przekonali się, że nowo odkryte ziemie mogą być wybornem miejscem do zakładania kolonji, do dalszych odkryć i zdobyczy zabrali się z niezmierną skrzętnością. A było im to nadzwyczaj potrzebne, Ameryka bowiem do któréj dotąd wywożono wszystkich zbrodniarzy, po powstaniu swem zupełnie odmówiła przyjmowania deportowanych, raz dla tego, że nie chciała zarażać ludności swéj towarzystwem zbrodniarzy ze starego lądu, powtóre że jeszcze dawniéj sprowadzając murzynów, przekonała się, że ci bez porównania daleko są wytrwalsi do pracy, niż przestępcy wywożeni z chłodnego klimatu Anglji. Trzeba więc było na gwałt wynaleźć jaką ziemię oddaloną, za morzami i oceanami, aby mieć gdzie usuwać wyrzutki społeczne bez obawy powrotu ich do ojczyzny.

Mówiąc o deportacji nie podobna pominąć choćby wzmianki jéj dziejów pierwiastkowych, obszernie opisanych w historji Anglji Macaulay'a.

Pierwsze prawo przemieniające wygnanie włóczęgów i oszustów na deportacją do Ameryki, wydał Jakób I, ułatwiając tym sposobem wykonanie postanowienia Elżbiety. Karol II nakazał deportowanie na całe życie rabusiów rozbijających po drogach publicznych, co stało się powodem do wielu gwałtów i nadużyć, w których nienawiść, zemsta i chęć dziedziczenia najgłówniejszą odgrywały rolę. Że zaś plautatorom w Barbadocs, w Nowéj Jersey, w Jamajce i na innych wyspach, w miarę rozwijania się osad, coraz więcéj potrzeba było robotników, więzienia zaś angielskie pomimo usilnych starań, nie napełniały się tak prędko, jak się pomnażały żądania tego ludzkiego inwentarza, zasobniejsi więc darami wyrabianych produktów, starali się w przesyłce doportowanych zyskiwać pierwszeństwo, i tym sposobem zaczął się rozwijać handel ludźmi, tem ponętniejszy, że przynosił ogromne zyski bez narażania na niepewność kapitału. W braku bowiem właściwych więźniów, łapano każdego pod pozorem najmniejszego uchybienia, i strasząc surową karą, nawet szubienicą, podsuwano myśl deportacji, jako jedyny środek ratunku. Pomiędzy tak zdobytym towarem znajdowali się ludzie wszystkich stanów, i chociaż nieprzyzwyczajonych do pracy ciężkiéj, używano ich potem w kolonjach, do deptaków, do rąbania drzewa, palenia w piecach, do kopania i innych prostych robót. Za jednę sztukę pierwiastkowo dawano po 1,500 funtów cukru, późniéj cena ich podrosła i wypłacaną była gotówką, co zachęcając do większéj frymarki, spowodowało wreszcie do kradzieży dzieci, do uwolnienia się od natarczywych wierzycieli, nielubionych mężów, niebezpiecznych pupilów, i innych podobnych tego rodzaju nadużyć. Ratunek znajdowano jedynie także w opłacie, do czego sławny Penn pośredniczył.

Wojna z Ameryką położyła koniec temu nadużyciu, więzienia angielskie zaczęły się znowu przepełniać, a rząd nie wiedział co ma z więźniami zrobić, bo wieszanie posunięte do ostatecznych granic, nie wywarło pożądanego wpływu na umniejszenie liczby więźni. Gdy więc kapitan Cock powrócił z podróży i wskazał nowo odkrytą ziemię, jako zdatną na urządzenie kolonji karnéj, myśli téj chwycono się nader chętnie, i w roku 1787 wyprawiono pierwszy oddział deportowanych, złożony z 600 zbodniarzy mężczyzn, 250 kobiet, pod nadzorem przyszłego gubernatora osady Artura Philip, jednego majora jako komendanta siły zbrojnéj, oficerów 12 i szeregowych 200 pomiędzy któremi było czterdziestu z żonami i dziećmi. Wyprawa ta z takim pośpiechem była urządzona, tak pilno było rządowi pozbyć się kłopotliwéj opieki nad zbrodniarzami, że zapomniano nie tylko przyłączyć do niéj księdza, ale nie pomyślano, czy między wywiezionemi znajdują się potrzebni rzemieślnicy, jak cieśle, mularze, i jacy tacy przynajmniéj mechanicy, tyle potrzebni do wznoszenia nowo zakładanych osad. Nie było także ani jednego rolnika coby rabusiów i złodziei nauczył uprawy ziemi, zakładania ogrodów i innych prac wiejskich tym bardziéj koniecznych, że wyprawa miała urządzić się w kolonją, w kraju pustym, dzikim, nawet nie dotkniętym cywilizacją, w którym rozwinięcie rolnictwa, miało stanowić przyszłe jéj utrzymanie. Marynarze z nabitemi karabinami, stanowili wszystko, oni utrzymywali, porządek, karność.

(d. c. n.)
